Dobry Strzelec.

Robert Hichens:



CHICAGO, ILL.
Drukiem i Nakładem Władysława Dyniewicza,
1909.

Dobry Strzelec.

Robert Hichens:



CHICAGO, ILL.
Drukiem i Nakładem Władysława Dyniewicza,
1909.




BIBLIOTHECA
CRACOVIENSIS

DOBRY STRZELEC.

Dwa lata temu jechałem dyliżansem na wielkiej, karawanowej drodze, która prowadzi z Beni-Mora do Tombulktu. Tłukliśmy się niewygodnym wehikułem 14 godzin dziennie, a około 9-ej wieczór zatrzymaliśmy się w przydrożnych gospodach, by znów o świcie dalej ruszyć. Trzeciego dnia po południu spotkała nas burza piaskowa. Ogromny wiatr się zerwał, zasypując nas tumanami piasku i kryjąc przed nami pustynię, tak jak londyńska mgła zakrywa ulice w chłodny, listopadowy dzień. Zimno się też zrobiło dotkliwe i z upragnieniem wyglądałem następnej stacyi.

— Gdzie zatrzymamy się ¡dzisiaj? — krzyknąłem do francuskiego woźnicy, który nasunąwszy żółtą czapkę na uszy, zachęcał usilnie swoje konie do biegu.

— Sidi-Hamdane — odparł, nie odwracając głowy. — W gospodzie Dobrego Strzelca.

Trzy godziny później stanęliśmy przed niskim budynkiem i skwapliwie wysiadłem, by rozprostować nareszcie zesztywniałe kości i ogrzać się przy upragnionem ognisku, którego blask tak mile przez okna przeglądał.

W drzwiach stał nie wielki a krępy, w średnim wieku Francuz, o ciemnych bły-

szczących oczach i siwiejącej bródce.

— Dobry wieczór panu — przywitał mnie uprzejmie.

—- Dobry wieczór, odparłem.

Był to mój gospodarz, którego woźnica nazwał był Dobrym Strzelcem.

Później dowiedziałem się, *Iż* był nie tylko gospodarzem ale i kucharzem i kelnerem, słowem całym personalem gospody. Mieszkał tu zupełnie sam, jedyny Europejczyk w tej arabskiej wiosce, zabłąkanej wśród wielkiej pustyni Sahary. Wiadomości tych udzielił mi, posługując mi przy obiedzie, który samotnie zjadłem, bo towarzysze moi byli Arabami, którzy

ulotnili się, jak duchy, skoro tylko dyliżans się zatrzymał na brukowanym dziedzińcu gospody.

Skończywszy jeść, zapaliłem cygaro,. Nikogo, oprócz mnie w jadalni nie było, a burza szalała w dalszym ciągu i piasek, jak grad, bił o zamknięte okiennice. Woźnica rnusiał być przy kolacyi w kuchni, razem z gospodarzem. Jakoś smutno' mi się zrobiło i postanowiłem przyłączyć się do ich towarzystwa. Otworzyłem więc drzwi i wyjrzałem na kurytarz. Żadnego głosu nie było słychać, ale ujrzałem światło nie daleko. Skierowałem się więc ku niemu i wkrótce znalazłem się w malutkiej'

kuchence, w której gospodarz siedział przy ogniu z cienkim cygarem w ustach i czytał 'brudny numer angielskiego “Journal - Anti-Juif”. Grzecznie odłożył go na bok gdy wszedłem.

— Sarn pan jesteś? — spytałem.

— Tak panie. Woźnica poszedł do koni.

Podałem mu hawańskie cygaro, które skwapliwie przyjął, i przysunąłem sobie krzesło do ognia.

— Długo julż pan tu mieszkasz? — zagadnąłem.

— Dwadzieścia lat.

— Dwadzieścia lat sam jeden w tej pustyni?

— Sam jeden od dziewię-

tnastu lat. Pierwej miałem moją małą Marie.

— Marie?

— Tak moją córeczkę, panie. Pochowana jest w piasku za gospodą. Tam palmy rosną. Rok po roku oszczędzałem jak mogłem, i zakupiłem już wszystkie palmy w około jej grobu.

Spojrzałem na niego uważnie. Spalona, pomarszczona twarz jego spokojną była, ale oczy pałały.

— Pan z Fiancyi pochodzisz ? — zapytałem po chwili.

— Tak z południa. Urodziłem się w Caśsis, koło Marsylii.

— I nie masz pan zamiaru tam wrócić?

— Nigdy panie. Jakże mógłbym opuścić moje dziecko?

— Ale przecież ono nie żyje.

— Tak ale obiecałem jej, że tatko jej wkrótce razem z nią leżeć będzie. Samej jej zostawić wśród Arabów nie mogę.

Nagły wyraz obrzydzenia odmalował się na jego, twarzy.

— Nie lubisz pan Arabów?

— Czy nie lubię tych parszywych psów! Chyba nic panu o mnie nie mówiono?

— Tylko tyle, że nazywasz się pan Dobrym Strzelcem.

— Dobrym Strzelcem! Tak mnie nazywają na pustyni.

— Jesteś pan myśliwym[1]? Pewnie dobrze strzelasz[1]?

Zaśmiał się śmiechem, od którego zimno mi się zrobiło.

— Oh! nie dlatego nazywają mnie Dobrym Strzelcem, że przynoszę przez siebie zabite gazele do domu na kolacyę. Czy mam panu powiedzieć dlaczego?

Spojrzał na mnie na wpół wyzywającym, a na wpół tęsknym wzrokiem.

— Ale jeśli powiem panu, gotowe jedzenie temi rękami ugotowane zaszkodzić panu. Pan jesteś Anglikiem, nieprawdaż?

— Tak.

— To nie rozumiesz.

— Sądzę, że rozumiem —

rzekłem, patrząc mu prosto w oczy. Sposób, w jaki mówił o swojem dziecku, wzbudził moją sympatyę. Czułem serce i rycerskość w tym człowieku.

— Dlaczegóż nazywają pana Dobrym Strzelcem?

— Widzi pan, ludzie , południa, nie są podobni do reszty Francuzów tak przynajmniej powiadają. Może lubimy blagować; ale jest w nas ochota do przygód, chęć zobaczenia świata i wykonania wielkich czynów. Jesteśmy też gadatliwi, i lubimy się pochwalić tern, co zdziałaliśmy. Będąc jeszcze chłopcem spotkałem raz Żuawa w gospodzie, do której się ua bouillabaisse schodlzili. Miał

on szerokie czerwone spodnie i niebieski mundur, a opowiadał takie cuda, że pomyślałem sobie:

“Jak skończę moje trzy lata służby, pojadę do Afryki, i tam zrobię majątek”. Odsłużyłem moje trzy lata w Grenoble, i wykonałem mój zamiar. Przyjechałem do Afryki — ale nie sam.

— Znalazłeś pan towarzysza?

— Znalazłem żonę w Cassis. Była to wówczas dobra dziewczyna.

Przez parę minut milczał, ciągnął dym z cygara.

— Była dobrą, bo nic jeszcze nie widziała.

Często tak bywa. Ja to jej napomniałem, że są na świe-

cie *rzeczy* ciekawsze od skał, zapylonych dróg i łodzi rybackich. Nazywała się Marya a miała lat 18, gdy stanąłem z nią przed księdzem. Na drugi dzień udaliśmy się do Marsylii, a stamtąd statkiem do Algieru, z głowami nabitemi Bóg wie czem. Myśleliśmy, żeśmy bardzo sprytni, i że powodzić nam się będzie w Algierze. I powodziło się z początku. Dostaliśmy miejsca w hotelu, ona pokojówki a ja portyera. Dobry mieliśmy dochód z datków otrzymywanych od gości, i wszystko prawie oszczędzaliśmy. Teraz żałuję, żeśmy wszystkiego nie wydali, aż do ostatniego sou!

Głos mu zadrzał, ale wy-

siłkiem woli opanował się i mówił dalej spokojnie:

— Widzi pan, tam nie było Arabów, i nic nie mieliśmy z nimi do czynienia. Tymczasem uzbierawszy pieniędzy, opuściliśmy Algier, i wzięliśmy w dzierżawę kawiarnię, obok stacyi w Beni-Mora.

— Stamtąd właśnie jadę.

— Nazywa się ona “Au retour du Sahara”.

— Piłem w niej kawę.

Tam to mała Marie urodziła się. W owym czasie mało było obcych w Ben-Mora. Kolej tylko co ukończoną została, i dziko tam jeszcze wyglądało; to też gośćmi naszymi byli przeważnie Arabowie. Nauczyliśmy się trochę ich języka, a oni naszego i

wkrótce poprzyjaźniliśmy się z nimi.

Psy parszywe! i wielbłądy podłe!

Uderzył pięścią w stół i zdawało się, że w miarę jak mówił, zapomniał o mojej obecności.

— Ale wiedzą oni jak podobać się kobietom.

—Są bo często bardzo przystojni — zauważyłem.

— Nie tylko to. Umieją się wpatrywać w kobietę, jak dzikie zwierzęta, a kobiety to lubią. Ja ich nawet nigdy za mężczyzn nie uważałem, a przynajmniej nie w tym sensie — ale Marya....

Zaksztusił się, rzucił cygaro na ziemię i zmiażdżył go obcasem.

— Marya im usługiwała, panie. Byłem prawie zawsze obecny, i nie wiem jakim sposobem, ale kobiety sposób zawsze znajdą. Pewnego dnia poszła ona do wróżbity, co czyta w piasku. Nie robiła z tego tajemnicy; powiedziała mi, że chce do niego pójść, a ja zawsze rad, gdy mogła mieć jaką przyjemność, nic nie miałem przeciwko temu; ale że opuścić kawiarni nie mogłem, więc poszła sarna.

G cly powróciła, spytałem ją, co wróżbita powiedział. Nie odpowiedziała ani słowa tylko wyszła z domu i usiadła koło altanki naprzeciwko miejsca, gdzie piorą bieliznę.

Poszedłem za nią, bo wydała mi się cierpiącą.

— Czy czytał on w piasku dla ciebie — spytałem.

— Tak — odparła — czytał.

— I cóż wyczytał?

— Że los mój leży w piasku — i twój — i jej — rzekła, wskazując małą Marie, któta bawiła się z żółtym koźlątkiem opodal.

— No, a -cóż w tern złego? — spytałem. — Wszak przyjechaliśmy na pustynię, by zrobić majątek, gdzież ma być piasek, jeżeli nie na pustyni?

— Tutaj go nie wiele w każdym razie — odpowiedziała.

I to prawda, panie. W Be-

ni-Mora grunt przeważnie skalisty. Odtąd nie chciała więcej mówić o wróżbicie ani o tern, co jej powiedział. A taka była nie swoją, że i ja humor straciłem i zaniepokojony się czułem. Czasami nie chciała nawet spojrzeć na dziecko, a czasami znów porywała je na ręce i tak gwałtownie całowała, że policzki małej całkiem czerwone się stawały. Aż pewnego wieczora poszła.

— Poszła!

— Chory byłem wtedy i udałem się do siarczanych kąpieli; wie pan Hamman-Salahin, pod górami. O świcie powróciłem, by otworzyć kawiarnię, zsiadałem właśnie z muła przed domem, gdy

usłyszałem okropny krzyk idizieeka. Płacz to był tak straszny, że stałem drżący koło, muła, trzymając go za cugle, i nie śmiałem wejść. 'Nieraz słyszałem dzieci płaczące, ale — mój Boże — coś podobnego nigdy. Nareszcie puściłem cugle i wszedłem, a nogi się podemną uginały. Mała sama jedna była w domu i jak nieprzytomna. Całą noc tak samotnie spędziła.

Matka jej wiedziała, że całą noc spędzę w Hamman. “Dobry Strzelec”! Tak! to ze mnie dobrego strzelca zrobiło! To opuszczenie mojej małej w takiem miejscu!

Zamilkł i głowę opuścił na

piersi. Przerwałem mu zadumę:

— Wróżbita był temu winien?

Spojrzał na mnie ostro.

— Nie wiem — odparł.

— Nigdy się pan nie dowiedziałeś?

— W Beni-Mora kobiety noszą zasłony.

Zrozumiałem nagle straszliwą sytuacyę tego opuszczonego męża, żyjącego z dzieckiem wśród tej ludności, których tajemnic prawo strzegło; wśród tych kobiet, które z domów nie wychodzą, a jeśli czasem wyjść są zmuszone, to tak gęste mają zasłony, że rysów ich twarzy rozpoznać nie można.

— I cóżeś pan uczynił?

— Szukałem, o ile w arabskiem mieście szukać można i oczywiście nie znalazłem. Chciałbym był zedrzeć zasłony wszystkich kobiet w Beni-Mora. W końcu wydalony stamtąd zostałem.

— Wydalony? Przez kogo?

— Przez francuskie władze; przez moich własnych rodaków; i to pod pozorem, iż obawiano, się, abym nie został zamordowany.

— Bo i byłbyś pan niezawodnie.

— Czemu nie? Wtedy tu się osiedliłem, bo nie chciałem opuścić kraju, aż....

— A wróżbita?

— Zostawiłem go w Beni-Mora. Uśmiechał się i zapew-

niał, że o niczem nie wie. Może i nie wiedział. Kto go odgadnie?

— Skądże przezwisko "Dobrego Strzelca"?

— Ah! płomienne oczy mówiącego w żarzące węgle się zmieniły. — Byłem już tutaj od jedynastu miesięcy, gdy pewnego dnia o zachodzie słońca usłyszałem odgłos bębnów i afrykańskich piszczałek i zrozumiałem, że wielka karawana się zbliża. Byłem wówczas w pokoju a mała Marie bawiła się koło studni naprzeciwko, tak że z okna mogłem ją widzieć. I ona stanęła, przysłaniając oczęta rączką. Hałas się zbliżył, i wkrótce karawana wjechała na podwórze, aby wiel-

błądy napoić. Była to największa karawana, jaką kiedykolwiek widziałem. Ze sto wielbłądów, konie muły i osły, kabylskie psy i kozy a muzyka cały czas przygrywała i na przodzie powiewała wielka chorągiew. Na niektórych wielbłądach były kwadratowe paki, a na pakach siedziały zawoalowane kobiety.

— Kobiety? — powtórzyłem.

— Gdy zbliżyli się do studni, kazali wielbłądom uklęknąć, ażeby kobiety mogły z nich zsiąść. Jedna z nich spostrzegła małą Marie, i przeraźliwie krzyknęła. Usłyszałem jej głos i widziałem

przez okno, jak pobiegła ku małej.

Dobry strzelec wstał ze stołka i zbliżył się do okna.

— W takim kraju, jak ten panie, człowiek zawsze nosi rewolwer przy sobie.

Wyjął z kieszeni rewolwer i skierował go ku okiennicy.

— Wyjąłem więc rewolwer, usłyszawszy okrzyk kobiety, a gdy zobaczyłem, że biegnie ku dziecku, strzeliłem. Kula w zasłonę trafiła.

Schował rewolwer i usiadł napowrót spokojnie.

— Dlatego to nazywają mnie “Dobrym Strzelcem”.

Nic nie mówiłem, i siedziałem tylko wpatrzony w niego.

— Gdy wielbłądy napojono, karawana ruszyła w drogę-

— Ale — ale — Arabowie.

— Kaid kazał na osła ciało władować — tak przynajmniej mówiono mi.

— Nie widziałeś pan?

— Nie. Musiałem rozpłakane dziecko zabrać do pokoju. Dwa dni potem, podczas gdy byłem na targu, skorpion moją małą ukąsił. Gdy wróciłem już nie żyła. I cóż panie, czy nie żałujesz pan, że zjadłeś mój obiad?

Zanim mogłem odpowiedzieć, drzwi się otworzyły, i woźnica wpadł do kuchni a za nim tuman piasku.

— Nom dóułn chien! — zawołał. — Dajcież mi kielisze-

czek wina, na miłość Boską. Pełne mam ¡gardło piasku. Ah! Sacre nom d’un nom!

Zdjął surdut i zaczął wysypywać piasek z kieszeni, podczas gdy Dobry Strzelec zdejmoiwał flaszkę z półki w kącie stojącej.

Z ang. przetł. A. Z.

